



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60,
kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.
Ekspedycja główna w księgarni wydawcy
Ulica Nowy-Swiat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1
sgr. 20.

Z NOWEJ WIOSNY

(Heine'go).

Pod drzewiną stojąc białą,
Słyszę wichru szum daleko;
Widzę jak chmurną nawałą,
W górze gęste mgły się wleka.

Istny ementarz przed oczyma:
Spustoszone pola, gaje;
Wkoło zima, we mnie zima...
Serce krzepnie, bić przestaje.

Nagle z góry mię owiewa
Puch śnieżysty.... przerażony,
Mniemam, że to tak się z drzewa
Lodowate sypią szrony.

Lecz nie! to nie szrony przeciel....
O! przestachu-ż mój radosny!
To swawolny wietrzyk micie
Na mnie wonne kwiaty wiosny!

Ileż czaru! upojenia!....
Srogą zima w wiosnę miłą,
Śnieg się w cudne kwiecie zmienia—
Serce kocha z nową siłą!

Adam Pług.

SĄSIĘDZI

POWIEŚĆ

z podań szlacheckich z końca XVIII-go wieku

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

— Nie czyni-że tego, na rany Chrystusowe! Nie chcesz przeklinać, a wydziedziczenie nie jest-że to przekleństwo? Majątek-ci to po dziadach.

Strukezaszyc zamilkł.

— Zrobię co zechcę — rzekł twardo. — Tymczasem póki ja żyję, Sierhin mój. Asińdzka sobie na nim gospodaruj, rób co chcesz; ale jak mi tu oni, oni — ci (wskazał ku Łopatyczom) jedną noc pod moim dachem przenoćują, jak ty mi ich tu puścisz, sprzedam Sierhin, — daruję!

Blandyna zanosila się od płaczu.

— Czegóż beczysz? — zawołał z gniewem Hojski — ustępuję wam, idę precz. Postawili na swoim, niech się cieszą.

— Mój bracie drogi, ale ja ciebie jednego mam na świecie, możesz-że mnie tak porzucić bez wieści, bez litości? Co mi po Sierhinie bez ciebie? Ja się zapłacę o tobie niewiedząc, trwożąc się, aby ci się co nie stało.

— Co mi się ma stać? — ofuknął Hojski, chrześcijanin jestem: co Bóg zesłał zniosę, ani się utopię, ni struję. Krzyż Pański dźwigać będę; ale tu, tu nie chcę i nie mogę zostać! Nie. Pokoju-bym nie miał jednej godziny, naposiedliby się na mnie wszyscy. Nie chcę Boga obrażać, przeklinając

dziecko własne: niech mu Bóg odpuści, bo nie wiedział co czynił.

Przeszedł się po izbie Strukezaszyc.

— Tego łajdaka Kaczora asińdzka precz wygnaj, a weź do interesów Samulskiego. W kantorku jest tysiąc czerwonych złotych od złej godziny, ale mi asińdzka z nich rachunek zdasz; dla p. Erazma niema tu ani szeląga. Swoje gałgany niech zabierze z izby, bo tu mu mieszkać nie wolno.

Nie dyktuję asińdzce co masz poczynąć; żyj z nami czy nie żyj — serce masz miękkie. Próżno-bym zakazywał.

Znużony pośpiesznem mówieniem, zatrzymał się Strukezaszyc i technął ciężko.

— Wołać komornika! — krzyknął, — konie Wieck niech zaprzęga!

Kaczor był podobno podedrzwiami. Zobaczywszy go Hojski, wziął rulonik ze stołu i wyciągnął ku niemu rękę.

— Masz acan więcej niż mu należy; każ sobie furmankę dać Morawcowi, i żeby mi cię tu za pół godziny nie było. Nie masz tu już co robić, nie jesteś potrzebny — kłaniam.

— Panie Strukezaszycu — zawołał Kaczor, ale cóż ja przewiniłem?

— Acan nie przewiniłeś — rzekł Hojski. — Gdy się ma śmiecie albo gnój wyrzucać, bierze się brudne widły: takem ja was wziął, i tak jak widły precz rzucam. Ruszaj sobie!

— Ale!

— Tu niema żadnego ale — ruszaj do Czemeryńskiego, który ci raz skórę wytatarował i służy jemu: u mnie niema co robić. — Bywaj zdrów.

Stał chwilę Kaczor, ale Hojski, podniósłszy głowę, zapytał groźnie:

— Czego jeszcze stoisz?

Komornik, zmieszany, wymknął się. Na krześle u stolika płakała, ręce łamiąc, p. Blandyna.

— Rób co chcesz, kochany bracie: masz więcej rozumu odemnie; ale ulituj się, powiedz, gdzie ja cię szukać mam, nie porzucaj mnie sierotą.

— Ja nie wiem sam co zrobię — odezwał się Strukezaszyc. — Widzisz, że syn kochany wypędza mnie z własnego domu. Spokoju-by mi nie dali — a ja przebaczyć nie mogę.

Dam asińdźce znać o sobie, ale z tym warunkiem, ażebyś im — im nie mówiła gdzie jestem. Będą gonili za mną... ja ich znać nie chcę — nie mogę.

Znając charakter brata, p. Blandyna nie nalegała już, żywiąc może w sercu nadzieję, że czas zmieni postanowienia i złagodzi gniewy. Wstrzymać go nie było podobna. Sciskając go i płacząc, wyprowadziła do ganku, a gdy sanki z nim wytoczyły się za bramę, z żalości i strapienia o mało nie omdlała. — Strukezaszyc, odjeżdżając, nikomu nie powiedział nic nad to: — Panna Strukezaszanka tu pani, żeby mi posłuszeństwo było!

Straszną pustką, jakby po pogrzebie, stał się dwór w Sierhinie; biedna kobieta osierocona w pustce tej zaledwie wytrwać mogła. Po wyjeździe Hojskiego zarygłowała wszystko i zamknęła się w swoim pokoiku — spędzała czas na modlitwie.

Kaczor, który próbował tu pozostać i po wyjeździe Hojskiego, chciał teraz ofiarować usługi swoje, ale otrzymał ponownie odpawę.

Dni kilka upłynęło w milczeniu, gdy, po rozejściu się wieści w sąsiedztwie, iż Strukezaszyc z domu wyjechał, dla przekonania się co rzeczywiście zaszło, zjechał ks. Dągiel.

Rachował on na to, że małżeństwo musi pojednać dwie rodziny, i zdumiał się a zgryzł, gdy mu panna Blandyna opowiedziała co się stało.

— Żelazny człowiek — rzekł — ale, że dziecka przeklinać nie chciał — chwali mu się. Desperować nie trzeba.

Panna Blandyna nieśmiało zapytała o Czemeryńskich.

Pomimo, że się ich wcześniej spodziewano, nie było jeszcze w Łopatyczach ani sędziego, ani młodych państwa. Drogi były złe, podróż długa.

— Jeżeli przyjechali, to chyba dziś w nocy, dodał proboszcz, za rząd do Łopatycz właśnie jadę, abym sędzinę chorą nawiedził.

Strukezaszanka opowiedziała o wszystkich brata rozporządzeniach i zaciętym gniewie przeciw synowi. Ksiądz Dągiel wysłuchał, niemówiąc słowa.

Nie zabawiwszy długo, pojechał do Łopatycz. Zdała już, po powozach stojących na wyspie przed gankiem, mógł się proboszcz domyśleć, że oczekiwani właśnie przybyć musieli.

Zastał też Czemeryńskiego w ganku, rozporządzającego się żwawo i słuchającego raportu Sliwki.

Leonilla z mężem była przy łóżku rozplakanej i szczęśliwej matki.

Zobaczywszy ks. Dągiela, Czemeryński odprawił ekonoma i powitał kapłana z miną trymfującą.

— Powinieneś jegomość dobrodziej być ze mnie kontent — rzekł — przebaczyłem córce, przywiozłem ją do domu. Daję dobry przykład zgody i przejednania.

Strukezaszyc się wścieczel — dodał sędzia z uśmiechem szyderskim. Zażyłem go z małki.

Proboszcz zmilczał.

— Projekt jest taki, że jutro cztery konie cugowe zaprzęga; liberya, — dwór wystąpi, i państwo młodzi pojedą do Sierhina.

Pęknie bestya, gdy ich zobaczy! — zaśmiał się sędzia.

— Nie obawiaj się acan dobrodziej tego — odrzekł poważnie proboszcz.

— Albo co? — zapytał Czemeryński.

— Bo Strukezaszyc, zawczasu uwiadomiony, siostrze majątek dożywociem oddawszy, wyjechał z domu zupełnie i bez powrotu.

— Co acan dobrodziej mówisz! Dokąd? — krzyknął, ręce załamując Czemeryński — a to mi się podoba! Jakto? — uciek?

Dotknęło to tak sędziego, który zemstą swą chciał się nasycić, iż, niezważając na proboszcza, zdyszany, pobiegł do żony i dzieci.

— A to się wasz ojciec kochany, po swojemu spisał. — krzyknął w drzwiach. — Słyszę majątek cały zahartował, a sam niewiedomo dokąd się wyniósł.

Erazm ręce załamał. Leonilka spojrzała na niego i od matki poszła do męża.

— Na Boga — cierpliwości, szepnęła mu — znajdziemy go — bądź spokojny — proszę!

Wszystkich łatwiej uspokoić było niż sędziego,

który w gniewie nie znał miary, nie oszczędzał też Strukezaszyc, mszcząc się na nim za to, że śmiał mu się z rąk wymknąć.

Tegoż dnia, wymógł Erazm na żonie, że mu do ciotki pojechać dozwoliła. Miał jechać sam, ale w ostatniej chwili Leonilka wyszła ubrana i uparła się mu towarzyszyć.

— Gdzie ty, tam i ja — a co ty cierpisz, ja z tobą dzielić powinnam — rzekła. — Wszystko mamy wspólne, a ból nad wszystko.

Czemeryńskiemu nie w smak była ta wyprawa, ale córka panowała nad nim. Nadasał się i zmilczał.

Panna Blandyna wyglądała siostrzeńca, chociaż tego dnia się go nie spodziewała, a zobaczywszy żonę z nim, i pomyślawszy co by się stać mogło, gdyby Strukezaszyc był tu jeszcze — przyjęła ich jak nieprzytomna. Zdawało się jej ciągle, jakby ten nieprzebiegany sędzia miał się co chwila ukazać z nielitościwem „precz!“ na ustach.

Erazm też, złamanego tym gniewem ojcowskim, tą ucieczką i wyrokiem, musiała ciotka orzeźwiać i pocieszać.

Leonilla miała mężstwo za wszystkich.

— Jam winna najwięcej — odezwała się po pierwszych uściskach, płaczu i żalach — ja też mam obowiązek Erazma wyprowadzić z tego położenia, w które go wtrąciłam. Cierpi dla mnie, ale ja — cierpię za dwojg!

Przysięgam ci — dodała — choć to może wydawać się śmiesznem, ja twój ojca znajdę i ja go przeblagam. Ja!

Ciocia Blandyna ręce tylko załamywała. Z największym potem szczegółami poczęła opowiadać, jak się Strukezaszyc o wszystkim przedwcześnie dowiedział i jakie zostawił rozporządzenia.

O wprowadzeniu się do Sierhina mowy być nie mogło, a Leonilla widziała dla męża niepodobieństwo pozostawiania w Łopatyczach na łasce i niełasce rodziców. Czemeryński też zawsze zięcia za ledwie znośił i unikał bliższego z nim stosunku. Teraz mogło się to pogorszyć jeszcze.

Nie było więc innego sposobu, jeno ten, żeby, korzystając z niebytności Strukezaszyc i powolności Blandyny, jedną z wiosek zatradowanych od Łopatycz odebrać, i tam w ubogim zamieszkać dworku.

W drugiej wsi dwór i całe zabudowania dworskie spalono zaraz przy zajęciu.

Nawykła do elegancji, wygod i ojcowskiego przepychu, pani Erazmowa, dosyć tęskną przyszłość swą na małej wioseczce, w lichym domku przyjmowała jakoś z uśmiechem młodości.

— Kiedyś się to poprawi — mówiła — a tymczasem dobrze nam i tak będzie. Chatka jak w romansach — dodała z uśmiechem — mnie się to bardzo podoba!

Z tym projektem, zapewniwszy się, że p. Blandyna bronić nie będzie wioski, odjechała pani Erazmowa. W drodze miała czas zapewnić męża, iż, choćby rodzice czego innego sobie życzyli, ona przy tem będzie obstawać.

— Będzie nam dobrze i w chatce! — powtarzała — byle razem.

W Łopatyczach projekt ten znalazł opór wielki ze strony sędziego.

— Do czego się to zdało? — zawołał. — Cóż to tu acaństwu złe, z nami? Ja wioski odbiorę na siebie, wy możecie mieszkać w Łopatyczach; osobnego domu nie potrzeba!

Czemeryńskiemu uśmiechało się upokorzenie zięcia i rola, jaką dlań gotował, chcąc go zrobić rodzajem posłusznego oficjalisty. Nazajutrz, gdy przy tem obstawał, Leonilla zaprotestowała.

— Nie — rzekła — Erazm i ja musimy mieć dom własny. Może-by nam tak było wygodniej, ale dla mojego męża nie przystało być rezydentem. Jego dola i upokorzenie spada na mnie. — Ja nie chcę!

Pierwszy może raz Czemeryński się pogniewał na córkę, wybuchnął z wymówkami; Leonilla zniósła to, ale się nie dała przełamać.

— Weźmiemy gdzieindziej dzierżawę — rzekła. — Erazm powinien być panem w domu, nie sługą. On dla mnie znosi wydziedziczenie, zaparcie się ojca. — Jam gotowa na wszystko dla niego. Sędzia sapał i fukał, wkońcu poddał się.

Wieczorem, przyszedłszy do żony, gdy sam z nią został, odezwał się:

— Uważasz, kochanko, że ta Leonilka, wykapa-

ny mój charakter. Jak się zatnie, nie jej nie poruży, gotowa na wszystko, a na swoim postawi. Już kiedy ja, nawet a rady jej dać nie mogę. Ot i teraz — za mężem ciągnie, ani ją przywieść do upamiętania.

— Ona go kocha — szepnęła sędzina.

— Więcej już niż nas! — dodał sędzia. Takie to rodziców losy! — Jak gruszki dojrzałe od drzewa, odrywają się od nich dzieci. — Poodpadają i — rzecz skończona.

Westchnął Czemeryński.

— Gdybym był miał choć tę satysfakcję, że Strukezaszyc zmogłem i zwyciężyłem, ale i to nie. Na piasku mnie osadził, syna się wyrzekłszy, i gotów jeszcze majątek oddać na ubogich. Takiego lotra świat nie widział!

Na tym szmacie lasu, który, choć już może na to nazwanie nie zasługiwał, zwał się jeszcze Puszcza Kobryńska, jakgdyby na równi z niezbyt oddaloną Białowieżą chciał iść o lepsze, różni właściciele się już wówczas rozposażali. Krajał się ten las na kawały, trzebiono go i rabano nielitościwie, osiadali w nim ludzie, i powoli, co było puszcza, stawało się trzebieżami i nowinami, otoczonymi resztką lasów.

Ziemia nie była drogą, nabywała się też prawie za bczem, bo dopóki nowy właściciel mógł z niej coś zrobić, długich lat pracy było potrzeba.

Niedość było wyrzeć nowinę, drzewo zrabować, pnie mozolnie powydobywać; najczęściej zpod nich wychodziła ziemia jałowa, piaskowata, przejęta od wieków zakisłymi wodami, a że nowe pola otaczał i oceniał las zewsząd, więc na trzebieżach posiewy tak były nędzne, iż ziarna nie opłacały.

Nowi też osadnicy najczęściej na rolę niewiele rachowali; gospodarstwo ich polegało na wypasie bydła, owiec i na małych pasiekach, tam, gdzie wilgoć gnileca nie sprowadziła.

Zato w tym zakątku cichym, pustym, siedziało się jak u Pana Boga za piecem, z tarakanami w towarzystwie, słuchając pieśni mnogiego plectwa i jednostajnego puszczy szumu. Wieczorem na mozarach kumały żaby, górą ciągnęły słomki, niekiedy zabłąkany łos z łomotem wielkim wypadał na polany, — popatrzył i zniknął.

Zimą o opał biedy nie było, bo i gałęzi i łomu i suszy i powałów było dostatkem. Nie kosztowało nic skłecenie chaty, postawienie płota i oddychanie wonią orzeźwiającej jodeł i sosen. A kto tu raz wżył się w tę ciepłą ustron, podrapał ziemię, przemarzył na niej rok jaki, wcielił się do tego cichego światka leśnego, temu ztąd na gołe pola wyjść się już nie chciało. Las ma to do siebie, że jak pierwotna kolebka, pierwsze ludzi schronienie, macierzyńsko ciągnie ku sobie. Człowiek w nim bezpieczniejszym się czuje — jest w domu.

Prawda, że, pożywszy tu, przybiera nawet jakąś inną postać i obyczaj, coś w nim jest z płochliwego zwierzęcia, które od ludzi ucieka, — dobrze mu w samotności. Przyjaźni się z innymi pustelnikami i znajomi z nimi, kocha ich; zdaje mu się, że głosy ich rozumie.

Tego, co mieszał w lesie, co żył na górach, nie oderwać od drzew i przepaści — tylko mieszkaniem równin koczując chętnie i włóczyć się gotów.

(Dalszy ciąg nastąpi).

TOWARZYSTWO NAUKOWE PŁOCKIE

(1820 — 1830).

Przed 60 laty istniało, prócz Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie, kilka pomniejszych towarzystw naukowych na prowincyi, i przyczyniały się one niewątpliwie do szerzenia i utrwalania wiedzy, jakkolwiek skromny był zakres ich działalności. O jednym z takich stowarzyszeń, istniejącem w Lublinie, wspominał Wójcicki w pamiętniku *Spółeczność Warszawy*. O drugim, założonem w Płocku, o ile wiemy, nie było dotąd żadnych prawie wiadomości: dopiero *Korrespondent Płocki*

pismo w danych warunkach, spełniające obowiązki organu prowincjonalnego dokładnie i pożytecznie i bodaj czy jako organ, nie lepsze nietylko od pism prowincjonalnych, ale i od warszawskich—dopiero *Korrespondent Płocki*, mówimy, w Nr 45, 46 i 47 z r. b. w pracy bezimiennie ogłoszonej, a ze wskazówek miejscowego obywatela, niegdyś członka towarzystwa, o którym tu mowa, sędziwego p. Niemirowskiego, i z materyałów przez niego dostarczonych, spisanej — podał ciekawe, a nieznanne przedtem szczegóły, za które ludzie, śledzący dzieje ruchu umysłowego w przeszłości wdzięczni czasopiśmu temu będą.

Towarzystwo Naukowe Płockie zawiązało się w dniu 3 Czerwca 1820 r., za pobudką Stanisława Potockiego, autora *Podróży do Ciemnogrodu*. Prezesem tegoż Towarzystwa był ks. Adam Prażmowski, biskup i senator, członkami stałymi kanonicy kapituły, rektor, nauczyciele szkoły wojewódzkiej, obywatele ziemscy, sędziowie, urzędnicy administracyjni. Kanonicy kapituły mieli *de jure* opiekę nad towarzystwem. Na początku 1821 roku instytucja liczyła 37 członków czynnych, 13 protektorów, pomiędzy którymi Potocki, Niemcewicz, Stanisław Grabowski — więcej o przyciemnianie niż o zapalanie światła dbały — wreszcie Staszic i Linde oraz 17 członków korespondentów, prócz wszystkich rektorów szkół wojewódzkich. Cel Towarzystwa dla braku ustawy, której jeszcze odszukać nie było można, pośrednio tylko, ale w sposób wiarygodny wskazać się daje, mianowicie: w przygotowaniu zbiorowem siłami jaknajdokładniejszego opisu Województwa Płockiego pod względem historycznym, geograficznym, statystycznym, etnograficznym, fizycznym i biologicznym — cel zatem najodpowiedniejszy, jaki Towarzystwo Naukowe prowincjonalne wytknęło sobie może. Dzięki tylko istnieniu takich drobnych, skromnych i na akademie wszechświatowe nie pozujących stowarzyszeń przyjaciół wiedzy, Niemcy tak wysoko posunęli poznanie przeszłości całego swego kraju: badanie dziejów, aby było zadawalniającem, konieczne rozdrobnione na wiele miejsc i wiele osobistości być musi.

Dla wytkniętego celu najwięcej ze wszystkich członków Towarzystwa zdziałał zasłużony Hipolit Gawarecki, zbierając i własnym kosztem wydając opisy Płocka, Ziemi Wyszogrodzkiej (które wychodziły później jeszcze w *Przeglądzie Warszawskim*), Ziemi Dobrzyńskiej i Pułtuska. Obok niego wymienić należy Borowicza, nauczyciela szkoły wojewódzkiej, Morykoniego, rektora tejże szkoły, Bromirskiego, assessora nadleśnego, wreszcie, dla samej nadzwyczajności, niejakiego Ignacego Kisielnickiego, który, będąc dopiero w III klasie, dał już zasługujący na uwydatnienie opis Zielonej w powiecie Mławskim. Do uczestniczenia w zajęciach Towarzystwa, do pracy dla wspólnego celu, uczniowie szkół nietylko byli dopuszczani, ale nawet zwywani i zachęcani umyślnie. Podobnież wiele liczone na duchowieństwo parafialne, ale to, o ile ze skromnego zarysu w *Korrespon. Płockim* widać, niewielką okazało gorliwość. Na wspomnienie zasługuje inny jeszcze uczeń szkoły wojewódzkiej, z klasy już VI-ej, Wiktor Brzozowski, który, zwiedziwszy Kujawy, powiat Kaliski i Częstochowę, do Krakowa, następnie w Krakowskie, Sandomierskie do Puław, a zamtąd do Warszawy podróż odbył, i wraz z pamiątkami opis jej złożył Towarzystwu.

Najświetniejszą, według autora wskazówki w *Kor. Pł.*, dobą działalności Towarzystwa jest rok 1823. Widać to choćby i ztąd, że w tym roku musiano rozdzielić działalność na dwa kierunki: jeden szczegółowy, pierwiastkowy, zbadaniu Województwa Płockiego poświęcony; drugi ogólny, bardziej literacki i naukowy. Z czasem ten drugi, jako łatwiejszy do osiągnięcia, a zatem i sił więcej i zajęcia wzbudzający, przemógł pierwszy i okoliczność ta daje nam już gotową przyczynę upadku Towarzystwa, niezależnie od innych przyczyn i działaczy. Na posiedzeniach publicznych doroczych, odczytywano rozprawy takie, na przykład: jak *O postępie nauk fizycznych w Europie, a w szczególności u nas* produkowano liryki i tragedye. Towarzystwo przy tych siłach, jakie w swem łonie posiadało, nie mogło się utrzymać jako stowarzyszenie literackie,

a nie chciało być prostą tylko kommisją ludzi sumiennie opisujących to, co widzieli i poznali z teraźniejszości i przeszłości swej prowincyi. Ta musiała być najgłębsza przyczyna upadku. Obok niej mogła się doń przyczynić waga organizacya, niekoniecznie z winy samych stowarzyszonych, i wreszcie obojętność ogółu, wśród którego i dla którego pracowano. Rzeczą to u nas nie nową.

W dziale literackim najbardziej odznaczyli się: Augustym Żdźarski, wydawca *Dziennika Płockiego* (1823 r.), Rutkowski, ze Szpetala pod Włocławkiem, który nadesłał Towarzystwu 4 tomy swoich *Dissertationes philosophicae*, Dębowski, pułkownik, który wystąpił z rozprawą *O zmianie obyczajów w narodach i o sposobie do (tak) ich poprawy*.

Odkryte dotychczas materyały bardzo słabe dają wyobrażenie o organizacyi Towarzystwa. Z ogłoszonej wskazówki nie widzimy tego: kiedy i w jakim składzie i czy w ogóle odbywały się jakie inne posiedzenia oprócz dorocznych, które zrazu w Czerwcu potem w Marcu, w Lipcu, a następnie we Wrześniu zwoływano. Po każdym takim posiedzeniu wydawana była Wiadomość o postępach wciagu ubiegłego roku, z wyraźnego upoważnienia ówczesnej Kommiss. Wyz. Relig. i Oświecenia Publicznego (której naczelnik był protektorem Towarzystwa) dołączana do corocznych programatów szkolnych, jakie dziś wychodzą przy szkołach średnich w Niemczech i Austrii. Te wiadomości, oraz prospekt na działalność Towarzystwa ze Stycznia 1821 r., stanowią, obok ustnych wskazówek starców, dotychczas jedyne materyały do historii Towarzystwa Naukowego Płockiego. Według tych „Wiadomości“, stowarzyszeni odbyli ośm walnych zgromadzeń, ostatnie we Wrześniu 1827 r. W dwóch programatach szkolnych, po tej już dacie wydanych, znajduje się jeszcze ślad istnienia Towarzystwa, ale było to już istnienie konającego; nie zgromadzano się nawet na zebrania doroczne. W 1830 roku zapowiadano późniejsze złożenie sprawy z działalności za czas ubiegły; ale sprawozdanie takie nie jest znanem i prawdopodobnie nigdy przygotowanem nie zostało. Towarzystwo rozlało się, czy też w mgłę rozwiał. Jak się w tysiącznych wypadkach wydarza, tak i tu po pierwiastkowym zapale nastąpiło działanie pół-duszą, bez miłości celu, bez energii czynu, i nic dziwnego, że wszystko wniwecz poszło. Najgorliwiej o byt i rozwój stowarzyszenia zabiegał rektor szkoły wojewódzkiej Kajetan Morykoni: jego ręką skreślonych jest siedm sprawozdań dorocznych. Trzymał on w rękę swych to, co się rozpadało przez nieradność, zubożenie dla pierwotnej myśli, a może i brak pracowitości niezbędnej.

Tak się nam, przy dzisiejszym stanie badań, przeszłość tego prowincjonalnego stowarzyszenia przyjaciół nauk przedstawia. Może dalsze spodziewane odkrycia wpłyną na zmianę sądu; ale dotychczasowe wskazówki, jakkolwiek szczupłe i niewyraźne, to jedno domniemanie na istocie rzeczy oparte, wysnuć z siebie pozwalają, że Towarzystwo upadło z winy samych stowarzyszonych. Tem większa jest zasługa wymienionych wyżej mężów, którzy byt jego podpierali.

Autor wiadomości podanych przez *Kor. Płock.* obiecuje powszechności czytającej, nietylko zgłębić historię samego stowarzyszenia, ale nadto ma jeszcze zamiar napisać o Bibliotece i Muzeum, staraniem Towarzystwa Naukowego powstałych, skreślić życiorysy Morykoniego, Gawareckiego i Żdźarskiego, podać szczegóły o pomniku dla Stanisława Potockiego, i wreszcie przedstawić obraz działań Towarzystwa Dobroczynności, które istniało niegdyś w Płocku.

Do wytrwania w tych zamysłach, wypada szanownego autora Wiadomości o Towarzystwie Naukowym Płockim całem sercem zachęcić, wynurzając jednocześnie pragnienie, aby i w Lublinie mógł się znaleźć ktoś, coby odszukał w archiwach, książkach i szpargałach starych dowody szczegółowych kolei Towarzystwa Naukowego, które i tam współcześnie z płockiem istniało, — i sumę poszukiwań swoich, sumienną, treściwą i jasną, na użytek historyków literatury i wykształconego czytelnika, jaknajrychlej przedstawił. Autor *Historji Lublina* jest jakby *eo ipso* do podjęcia i należytego spełnienia tego trudu wskazanym.

LISTY Z ZAGRANICY

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Kongres w Dreźnie — właścicieli hoteli — i jego skutki. — Wystawa kwiatów Tow. Flory. — Przygotowania do srebrnego wesela królewskiego w Dreźnie. — Parlament i ks. kanclerz. — Obawy. — Przygotowania do kongresu w Berlinie. — Dreźnie i Berlin, dawniej i dziś. — Nowości. Preller'a: *Odyseja*. — B. Carapaccio: *Legenda o s. Urszuli*. — Ebers'a *Egipt ilustrowany*. — Sceny z życia Rzymian. — Historia obyczajów w Niemczech. — Lewickiego *Pasek*, wydanie nowe. — Walerego Eliasza *Historja ubioru w Polsce i krajach sąsiednich*. — Sztuka i piśmiennictwo. — Auerbach'a komedya i powieść. — Scena z życia. — Nurek Schillera — Dramat Bret-Harte'a. — Włoskie tłumaczenia Goethego. Goethe i Zanel-la. — Teatra. *Suby panieńskie*. — Zola i Augier. — Wiedeń. — Lipsk. — Berlin. — Nowa opera i nowy teatr w Dreźnie.

Pod te, tak bardzo ciężkie, czasy i uśmiechnąć się nie bardzo godzi — a czasem takby się chciało! Mielśmy kongres w Dreźnie, o którym Europa wiedziała mało, lub tak jak nie.

Miejscowe dzienniki zdawały z niego sprawę, z powagą tak komiczną, że czasem się mistrz Alkofrybas przypominał i pantagrueliczne sprawy. Na zjazd ten pospieszyło przeszło dwa tysiące osób z calutenkich Niemiec, jak szerokie i długie; były na nim narady poważne, była wystawa, były nagrody, były uczy, biesiady, wycieczki i toasty, mowy, improwizacye i poezye. Jakże-by sprawozdawca nie miał choć wspomnieć o tem! Był to przecież piąty powszechny kongres — hotelistów i właścicieli gospód, — pod prezydencją pana Müller'a z Berlina.

Ze sprawozdań widzę, że piwo było na pierwszym obrad planie. Kilkadziesiąt browarów współubięgało się o lepszą; nagrody wzięły niemal wszystkie wywary słodowe, eufemicznie tu zwane szlachetnym sokiem jęczmiennym (Gerstensaft). Pan Müller na jednym z posiedzeń wygłosił historyczną rozprawę o gospodach w dawnych Niemczech i *kulturzem* ich znaczeniu. Wszystko to odbyło się z powagą, z przejęciem, z prawdziwie niemiecką pedanterią, na wzór innych kongresów i zjazdów. Czy uchwalono podwyższenie cen na lokalach, opłacie światła i usługi — nie jestem tego pewnym, ale się niezmiernie tego lękam. Miały posiedzenia i mały odblask polityczny, gdyż zgodzono się na to, aby socyalistów w piwiarniach nie cierpieć. Zresztą, jak na wszystkich kongresach, bawili się panowie właściciele hoteli wybornie: jedli smakowicie, a naradzali się i pracowali jaknajmniej. Oddajmyż im tę sprawiedliwość, że i o szkółkach dla kelnerów i o zapomogach dla biednych towarzyszy nie zapomnieli.

Publiczność może teraz być pewną, że wędrując od jednego hotelu do drugiego pod pozorem taniości, nigdzie nie znajdzie cen innych nad powszechnie uchwalone. W mniejszych tylko hotelach będzie trochę brudniej i niewygodniej, w większych mniej grzeczniej i lekceważąco przyjętą.

Następny zjazd — ważyły się losy długo — uchwalono odbyć w Monachium, ze względu na tak interesujące piwo bawarskie, z którego sławą chyba tylko czeskie równać się może.

Mielśmy i daleko bardziej wonną wystawę jubileuszową, — towarzystwa ogrodniczego Flora. Tu, omyliliby się bardzo, toby czegoś nowego, zajmującego szukał. Wystawa była — handlową więcej niż amatorską, azalee i rododendrony stały tysiącami — nie więcej. Od lat nie wiem już wielu, miłośnik kwiatów, zwiedzam wszelkie ogrodnicze popisy, a jeszcze oprócz czasem biednych orchideów, nie nowego i uderzającego nie widział. Są to wystawy ogrodów, które tysiącami i dziesiątkami tysięcy produkują to, co się na urodziny najlepiej sprzedaje i na pogrzeby najpospoliciej używa. W tem wszystkim niema miłości roślin, — jest tylko spekulacya.

Toteż nad wyraz to smutne, choć się składa z rzeczy na świecie najpiękniejszych. Stan ogrodnictwa tutejszego wcale nie jest wysoki; produkuje się coś jednego, dwa lub trzy rodzaje roślin na olbrzymią skalę i — sprzedaje. Cóż chcecie! cięż-

kie czasy! A pomimo to, w mieście sama przyzwoitość wymaga mieć coś zielonego w pokoju, i jest zamilowanie w kwiatkach, nawet u najuboższych rodzin. Takich ogrodów i ogrodników jak w Gandawie i pod Paryżem, próżnoby szukać. Ogrodnictwo, jak wszystko, jest sobie tylko — Geschäftem.

Oprócz dwu wymienionych uroczystości, przygotowujemy się do trzeciej. Dnia 16—18 Czerwca z nadzwyczajną okazałością obchodzić się będzie srebrne wesele królewskie, a że dwór tutejszy słynie z hiszpańskiej niemal etykiety, obermarschall-amt wydał już drobnotkowite przepisy, jak się osoby przypuszczone do dworu, którego dnia i godziny ubierać mają. Niewiele z tego rozumiem, ale widzę, że panie ciągle będą „en montant“, musi się tak zwać pewien krój sukni używanych u dworu. Panowie będą się musieli przebierać rozmaicie, stosownie do pory dnia i okoliczności.

Cały kraj, do dynastji swej przywiązany, weźmie bardzo czynny udział w obchodzie; przybędą nań górnicy z Freiburga, akademicy z Lipska, towarzysztwa śpiewaków z miast różnych, będą serenady i marsze z pochodniami, illuminacje i wieńce. Całe miasto odświeża się i maluje, aby jaknajwdzięczniej wystąpić. Jakkolwiek Saxonja z powodu wyboru Bebla i Liebknechta do parlamentu, dosyć zły używa reputacji, znaczna jednak większość ludu ma uczucia wiele dla rodu Wettinów, z którym losy jej od wieków były i są związane. Ponieważ wasz referent w czasie obchodu na miejscu się znajdować nie będzie, więc choć o przygotowaniach miał sobie wspomnieć za obowiązek. Obiecywano tu zjazd daleko liczniejszy i świetniejszy; spodziewano się cesarza Wilhelma — dziś już ani myśleć o tem.

Wkrótce też zacznie się zapewne agitacja przedwyborcza, gdyż niema wątpliwości, że parlament rozwiązany zostanie. Zdaje się to być nakazane przez świeże wypadki, ale i bez nich musiałoby przyjść do tego. Dziś tylko dla ks. kanclerza pomyslniej się to składa. Po zerwaniu układów z panem Bennigsenem i tak zwanymi Liberalnymi, nieuchronnem było pomyśleć o stworzeniu nowej, posłuszniejszej, większości. To, co by się w innym razie z trudnością dało przeprowadzić, dziś, pod wpływem wrażeń smutnych, dokona się łatwo.

Nowy parlament zwołany być ma niezwłocznie i pierwszym prawem, jakie mu zostanie przedstawione, będzie, w formie odmiennej, nowella, którą przeszła izba odrzuciła. Zapowiadają też cały szereg poprawek w duchu bardziej zachowawczym, a, jak się tutejsze dzienniki wyrażają, reakcyjnym.

Tymczasem, jak Dreźnie przysposabia się na srebrne wesele, tak Berlin gotuje się na przyjęcie kongresu. Nie dziw, że właściciele hoteli teraz właśnie zjechali się na naradę: już choćby ów sławny sos uniwersalny z karuku, nazywany w Berlinie do wszystkich potraw, należy dla kongresu zmodyfikować. Tissot już go zbzeześcił. Dla Anglików i Włocha najęto całe pierwsze piętro w Kaiserhofie; inni posłowie pomieszczą się w ambasadach; sam kongres odbywać się będzie w dawnym pałacu ks. Radziwiłłów, dziś kanclerstwie, przepyszenie odnowionem, ale nie zupełnie gotowem, a nadewszystko nie umeblowanem jeszcze. Słyszymy, że codo urzędzenia, nawet w najdrobniejszych szczegółach ks. kanclerz warował sobie ostateczne wyrokowanie.

Wybór sali jeszcze nie uczyniony; wątpliwość wielka: czy stół będzie prosty czy w podkowę? Wszystko to bierzemy z berlińskich dzienników, nie puszczaemy cugli fantazyi.

Gdy to piszemy, niektórzy członkowie kongresu są albo już w miejscu, lub w drodze do Berlina.

Gdy się przypominam sobie tę stolicę przed stu laty, tak, jak ją opisują współczesne pamiętniki — co za różnica znaczenia i charakteru! Trochę bardziej się cofając, Berlin nie miał się równać z Dreznem, a dziś stolica Saxonii ma zaledwie dwakroć sto tysięcy mieszkańców, — Berlin doszedł do miliona. Wprawdzie nie uczyniło go to przyjemniejszym. Czuć w nim nadzwyczajnie dorobkiewicza, tak jak w Wiedniu — nadrujnowanego arystokratę.

Byłbym wielce zakłopotany, gdyby mi kazano mówić o nowościach w literaturze. Niewiedząc ich za oknami księgarni, uciekałem się do wszystkich spisów i katalogów, znalazłem w nich

przeważnie nowe — wydania i — rzeczy ilustrowane.

Zdaje się, że publiczność niemiecka, niebardzo kupująca książki, do ilustrowanych większą przywiązuje wagę, i ęci się na nie. Powstają bowiem coraz nowe zbytkowne edycje, i nakładczy nie skarżą się na ich odbyt.

Bardzo piękną rzecz, która właściwie jednak do ilustracji się nie liczy, ale do reprodukcji, są przepyszne starego, świeżo zmarłego Prellera, krajobrazy do Odyssei, drukowane na sposób akwarelli. (München, Fr. Brückmann, wyszły 3 zeszyty).

W Wejmarze, jak wiadomo, znajdują się oryginały, a w Muzeum lipskiem — kartony.

Nie piękniejszego nad te ostatnie. W reprodukcji kolorowej, bardzo starannej, kompozycje te wiele tracą, tak jak wiele rysunków Schnorra, przerobione na obrazy, uroku kartonów nie mają.

Jest to los wszystkich rysowników — nie malarzy, których cały wdzięk zaciera się, gdy chcą się stać nimi.

Drugim wydaniem podobnem w Wiedniu jest *Legenda o Ś. Urszuli*, z akademii sztuk pięknych w Wenecji B. Carpaccio — oddrukowana także akwarello. Wogóle te naśladowania akwarelli, choćby najstaranniejsze i najdoskonalsze mają coś w sobie — że tak powiemy, tandetnego. Jest w nich wszystko oprócz ducha, prócz tego żywego dotknięcia ręki ludzkiej, której żaden mechanizm nie zastąpi.

Sława Ebersa i jego egipskich powieści doszła już do nas. Mamy tłumaczoną jego *Córke króla Egiptu*, — otóż Ebers, będący znakomitym przytem egiptologiem, wsławiony odczytaniem papyrusu, który nosi imię jego, wydaje opis Egiptu ilustrowany. Że text przez tak kompetentnego pisarza będzie żywo zajmującym, niema najmniejszej wątpliwości, a ilustracje też z pomocą fotografii pewno będą wspaniałe i wierne. Przyczyni się do nich Richter (autor obrazu Pyramid) może Makart, który po Nilu pływał, i wielu innych. Sam pomysł dzieła jest bardzo szczęśliwy.

Obok niego staje ilustrowane życie (sceny z niego) dawnych Rzymian, do których równie nasz Siemiradzki, jak Alma Tadema, mogliby dostarczyć prześlicznych rysunków. Ilustruje się i — *Historja obyczajów Niemiec od pierwotnych czasów do XVIII wieku*.

A gdy już o tem mowa, godzi się zawiadomić mnogich u nas wielbicieli pamiętników Paska, że ilustracje do nich Lewickiego, z dodaniem dwóch blach, których pierwszemu wydaniu brakło, wychodzą odbite nanowo, nakładem Żupańskiego. Edycja ta będzie tańszą i przystępniejszą.

Pan Walery Eliasz, z Krakowa, przysposobił też ilustrowaną historję ubioru w Polsce i krajach sąsiednich, której pierwszy ciąg do druku jest przygotowany.

Zdaje się, że wogóle na polu sztuki, licząc w to i scenę, żywsze panuje zajęcie, produkcja jest dzielniejsza niż w literaturze. Dzieje się to nie tylko u nas, ale wszędzie. Artyści niemieccy wprawdzie uskarżają się na trudny odbyt dzieł swoich, a jednakże mnożą się one do nieskończoności i, z pomocą Ameryki, rozchodzą. Corocznie odpływa znaczna część niedobitków z Düsseldorfu, Berlina, Monachium, do Stanów Zjednoczonych — i nie powracają już do Europy.

Otóż przecie — nowość. Staruszek Auerbach dał parę komedjek scenom wiedeńskiej i berlińskiej i — powiastkę do *Nord und Süd*. Na scenie „Das Erlösende Wort“ miało to, co się zowie: *un succès d'estime*, a powiastka? Nosi tytuł: *Syn Kätchen z Heilbronn*. Co o niej powiedzieć? chyba, że gdyby nie była przypieczętowana imieniem Auerbacha, przeszłaby niepostrzeżoną. Temat jej ten sam co niedawno granego dramatu Wilbrandta: walka sztuki i powołania z rzeczywistością — artystka dramatyczna z miłością sceny i obowiązkami żony i matki.

Auerbach i Wilbrandt sztuce dają pierwszeństwo. Temat — dosyć ograny, a nam przywiódł na myśl mimowolnie smutną ilustrację niezmysłową, ale rzeczywistą, — historję Karoliny Bauer, przez trzydzieści cztery lata męczącej się, mimo szczęśliwego pożycia, pragnieniem okłasków i ich wspomnieniami. Korrespondencja jej zdradza wieczną tęsknotę za tym światem desek i dekoracji,

którego jej brakło. Jest coś w życiu tem pełnem wrażeń, ciągle urozmaicanem, ogrzewanem poezją, osładzanem grą uczuć czyniących wrażenie rzeczywistości — co stracone — nieчем się wynagrodzić nie daje. „*Qui a bu, boira*“ powiadają Francuzi.

Powiastka Auerbacha wygląda — przepraszam, jakby była ofiarowaną czasopiśmu, za umieszczenie w tym numerze wybornego portretu autora. Tak jakaś jest króciuchna, nierozwinięta, urwana.

Z prawdziwą — pobożnością pracują Niemcy nad wyjaśnieniem źródeł pomysłów swoich poetów; szczególnie nad Schillerem. Każda z jego ballad — każda z poematów ciągle jest komentowanym. Damy za przykład *Nurka* (Taucher). Dowiadujemy się, że pomysł do niego dał Schillerowi Goethe, a sam wziął go z O. Kirchnera.

Na tem nie dosyć: pierwotnej legendy ślady znaleziono w trubadurze XII w. Wicehrabi de Sanct-Antonin. Nie objaśnia to *Nurka*, ani się przyczynia do lepszego ocenienia Schillera, ale wskazuje jak nasze baśni są stare.

Bret-Harte, znany powieściopisarz kalifornijski, zapragnął sprobować bohaterów swych przesadzić na scenę. (Dwóch ludzi z Sandy Bar). Zdaniem powszechnem, próba nie jest bardzo szczęśliwą. Powieściopisarz nadto się w dramaturgu odbija.

Z pism niemieckich dowiadujemy się o pięciu już tłumaczeniach *Fausta* Goethego na język włoski. Najgorszem ma być pp. Givvito Salvini i Giuseppe Gazzino (1862 r.), znośnem p. Fr. Persico (1861) dobrem, — znanego tłumacza wielu innych poetów starego An. Maffei (przekład Mickiewicza), najdoskonalszem — pana Guerrieri Gonzaga (1873). Najnowsze Niemcy nie mogli dostać. Autorem jest prof. uniwer. w Pawii Roda-Rossi. Z ciekawością czytaliśmy porównania z oryginałem, gdyż — po widzeniu *Fausta*, choćby tylko Gounodowego na scenie w Bolonii, trudno nam już uwierzyć, aby Włosi mogli kiedy przejąć się nim i przyswoić go sobie. Na scenie stał się Faust taką karykaturą, że słuchać go nie było podobna. Mefisto przypominał Stentorella i Pulcinella. Przekład p. Gonzogi przekonał nas jednak, że — Faust możliwy jest po włosku.

Niemcy gniewają się niezmiernie na niejakiego pana profesora Vittorio Imbriani, który świeżo wydał pismo *Fame usurpate* (Niepol. 1877 r.) i napadł w niem na pp. Aleardo Aleardi, Giacomo Zanella, Andr. Maffei i — Goethego. Samo umieszczenie go w takim towarzystwie (Zanella i Goethe) wydało się im — monstrualnem. Aleardi, którego widzieliśmy we Florencji, dziś dymmisjonowany poeta a rzeczywisty senator, używał i używa sławy bardzo umiarkowanej; sędziwy Maffei jest doskonałym tłumaczem; Zanelli nikt na świecie nie zna, oprócz p. Imbrianiego. Powiązanie tych imion wygląda jak ananas z pietruszką i Niemcy mają przyczynę słuszną sierznić się na profesora, który zresztą wiedzieć o tem nie będzie i postawi W. Hugo obok jakiego Perduto.

Nie warto było podnosić tej sprawy.

Z teatralnych sztuk grają tu: „Śluby panieńskie“, przerobione przez Mosera, i choć krytyka ostro się z niemi obeszła, powtarzają się od dwóch tygodni. Oprócz tego na przemian stare rzeczy klasyczne i świeże pospy — a operetki. Operetka wprawdzie straciła dawny urok, ale ciągnie jeszcze pewną publickę.

W Paryżu osławiony Zola dał na scenę „Bouton de rose“, ale publiczność musiała w nim znaleźć podejrzenia zapach halli paryskiej i — nie przyjęła go jak się spodziewano. Za to *Les Fourchambault* są rzeczywistym i trwałym sukcessem nowego akademika, Sardou, nie się temi czasy nie ukazało. W Wiedniu po większej części rzeczy odgrzewane (Legouvégo *Miss Suzanne*, po szesnastu latach zapomnienia) — Berlin był tak zajęty artystami Meiningerскими, że przy nich gasło wszystko. Wiadomo, że towarzystwo to przedstawia tylko rzeczy klasyczne i uznanej wartości.

W Lipsku dotąd dwie pierwsze części *Nibelungów* robią pieniądze. Chciano sprowadzić teatr Lipski do Berlina i Wagner się zgodził na to, ale zarząd teatru czy rada miejska na tę wycieczkę się nie zgodziła.

Mówią mi, że tu w Dreźnie, oprócz *Henryka Lwa*, przygotowuje się nowa opera Teobalda Rehbaum'a: *Don Pablo*. Mielimy tu odwiedzić pa-

ni Dowiakowskiej, która korzystała z tego, że ją trzy godziny tylko dzieliło od Drezna (z Berlina) dla widzenia nowego teatru. Czy szczęśliwie trafiła, na przedstawienie zajmujące, powiedzieć nie umiemy. Pora to nie jest najświetniejsza tutaj, a stan teatru w obecnej chwili wiele zostawia do życzenia. Za to gmach ma być wewnątrz bardzo wspaniały, o czym my tylko ze słuchu sądzić możemy. Każdy teatr jest gniazdem katarów, szczególnie o tej porze...

Spodziewamy się, że się tak rychło nie spali jak pierwszy i że go oglądać będziemy.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

„Mąż od biedy“ komedia Blizińskiego w 1 akcie, przedstawiona poraz pierwszy na scenie warszawskiej w d. 12 Czerwca r. b.

Autor „Kawalera marcowego“ należy bezwarunkowo do tych osobistości utalentowanych rzeczywiście, które z biegiem czasu, czyli z wyrabianiem się dalszem, z zachętą, jaką znajdują u publiczności, nie tylko danej obietnicy nie zawodzą, ale ją jeszcze przewyższają. — Kiedy przed laty kilku koledzy nasi niezbyt przychylnie, a nawet wprost nieprzychylnie, wyrazili się o „Przezornej mamie“, poprawiając się, co prawda, z tej wstecznej pomyłki w tym roku przy wznowieniu tejże sztuki — my na tem miejscu oceniliśmy ją wówczas przychylnie, zwracając przedewszystkiem uwagę na kilka charakterów istotnie komicznych i dobrze rozwiniętych a zarazem na tło całości, zabarwione szczerem i swobodnym humorem.

Ośmielamy się oddać sobie samemu sprawiedliwość, głównie dla tego, że dzisiaj niezbyt trudno być prorokiem w sprawie Blizińskiego. Od tego czasu autor zwolna, ale dzielnie się rozwinał, zwłaszcza w *Panu Damazym* i w *Mężu od biedy* utworze jednoaktowym.

Wyjątkowo dobrze usposobieni recenzenci względem autora, zaczęli głosić jego sławę jeszcze przed przedstawieniem obydwóch tych sztuk w Warszawie, później zaś, po przedstawieniu ich w teatryku Tow. Dobroczyńności i w teatrzykach ogródkowych, naganiali dyrekcję teatrów warszawskich, i słusznie, że nie bierze tych dzieł utalentowanego autora; codzien niemal w kilku pismach, zjawiały się artykuły i korespondencye, niustannie mówiące o *Panu Damazym* i *Mężu od biedy*, — słowem, uczyniono wszystko czego było potrzeba, ażeby zasłużoną sławę utworów tych w Warszawie ustalić wprzód jeszcze, zanim się na scenie warszawskiej pojawią.

I cóż się stało? Kiedy nareszcie pojawił się *Mąż od biedy* na scenie Teatru Letniego — publiczność przyjęła go chłodno, rzeklibyśmy wręcz niesprawnie, i bez poznania się na rzeczy; nie chciała rozejrzeć się nawet w prostych, ale najrzeczywistszych pięknościach utworu. Dopomóż zaś jej do rozejrzenia się niezdolna była tym razem gra wszystkich prawie artystów, którzy role swoje błędnie, a nawet zupełnie źle, pojęli i wykonali.

I stało się, że komedia Blizińskiego, ciesząca się takim powodzeniem na innych scenach, na naszej przeszła bez wrażenia. A jednak jaka tu wyborna charakterystyka tego rządu Szymelskiego, „Męża od biedy“ i żony jego „córkę obywatelskiej“, która sądząc, że łaskę zrobiła pracującemu jak wół na nią mężowi, ponieważ nim, lekceważy go, sama próżnuje, czytając tylko niedorzeczne książki i oczekując z panem Mieczysławem, siostrzeńcem dziedziców! A jaka wyborna ta Kasia, wiejska służąca, i nawet ten pan Mieczysław, który rzadko się ukazuje, ale daje doskonały obraz chytrego i praktycznego młodzieńca, gotowego cudzym kosztem usłać gniazdeczko dla siebie! I ten pan Dawnowski i pani Dawnowska, choć może cokolwiek przypominają Jowjalskich, lecz mimo to cieszą się swoim własnym indywidualnym życiem! Ich drobne sprzeczki i ustępstwa, ich przybierana na chwilę surowość, pokrywa złote serca, a oni wydają się nam typami patryarchalnymi, coraz bar-

dziej już ginącymi, owych dziedziców, którzy na swoim gruncie byli prawdziwymi ojcami dla swoich domowników i dla ludu.

Niema tu zapewne żadnej intrygi, przez co może akcja wydaje się leniwą, ale też autorowi nie zależało na efektach francuskiej maniery, lecz na zobrazowaniu małej grupy ludzi, którzy dla codziennego i zwykłego śmiertelnika wydać się mogą powszednimi, ale dla dostrzegacza, obdarzonego siłą komiczną, dostarczają bardzo wdzięcznego materiału do artystycznego obrazu.

Przytem humor serdeczny, niesztuczny, niesilający się na płaskie koncepta, humor rozlany w samej sytuacji, w dialogu żywym i naturalnym, powinien był zapewnić utworowi stanowcze powodzenie.

Jeżeli go nie zapewnił, to ciężka wina leży na grze artystów, a tu przedewszystkiem podziwiać musimy niestosowność rozdania ról. Jakto? — panu Leszczyńskiemu, grającemu bohaterów tragicznych i kochanków w dramatach, zachciało się być ciężkim, pocziwmy z kośćcami, ale dobrodusznym i śmiesznym rządcą? Nie chcieliśmy wierzyć afiszowi. Wydawało się nam niepodobnem, iżby sam artysta tak dalece pomylił się codo natury swej indywidualności; dlatego nie dziwnego, że pomimo widocznych usiłowań i pracy ze strony pana Leszczyńskiego, wrażenia odpowiedniego z jego gry nikt odnieść nie potrafił. Niektóre zaś ustępy, które powinny były wywołać efekt śmieszny lubo niewinny, wywołały efekt brutalny i trywialny, jak np. opowiadanie Szymelskiego o konkurach do żony, w chwili gdy ją zapraszał do tańca.

Zdaje się nam, że pan Leszczyński ma jeszcze czas do przerzucenia się w role charakterystyczne. Niemniej żona jego (pani Borkowska) nie utrafiła w ton sztuki, bo z wiejskiej jejmości — powiedzmy słowo — pozującej na lafiryndę, bardzo niezręcznie, a więc komicznie — zrobiła wytrawną bałamutkę półświatka.

Nie możemy też zgodzić się na pieszczołowość pani Dawnowskiej (Ostrowskiej) choć zresztą w szczegółach, gra jej była istotnie staranną i dobrze obmyśloną.

Rolę znowu Mieczysława najniestosowniej oddano p. Prażmowskiemu, który z niej nie zrobił nic, gdy tymczasem w grze naprzykład p. Szymanowskiego byłaby ona wyszła tak charakterystycznie jak jest napisana. Bo ten młodzieniec, pod pozorem umizgów penetrujący w domu Szymelskich możliwe nadużycia, celem zaskarżenia ich przed wujowstwem, ma swoją wyraźną fizyognomię.

Pochwalić nam wszakże trzeba grę pana Rapackiego (Dawnowski), który się najbardziej dostroił do komicznej harmonii i najbardziej pracował nad wytworzeniem potrzebnego tu kolorytu. Tak samo pani Leszczyńska, w małej swej roli Kasi, wdzięczną i hołą była dziewczoną.

Lecz całość gry artystów, ponieważ role rozdane zostały niestosownie, straciła swój charakter, swoją świeżość i znużyła widzów, bo — dodać trzeba — że była grana zbyt powolnie, a raczej ospale. Czyż na tem jednak autor szkodować może? Nie a nie, jesteśmy tego pewni; on wreszcie sam, gdyby był tutaj, uniknąłby przykrości przez dopilnowanie trafniejszej obsady. Mamy wszakże nadzieję, że w „Panu Damazym“ ujrzemy talenta naszych artystów lepiej rozmieszczone.

E. Lubowski.

WIADOMOŚCI

Literackie, artystyczne i naukowe.

— A. P. — Niestrudzony pracownik, miłośnik skarbów pamiątkowych, miejsce wstawionych na kartach dziejów, albo godnych uwagi, czy to przez malowniczość swoją, czy przez związek ze zgonem mężów zasłużonych w narodzie, *Napoleon Orda* wydał świeżo czwartą seryę swego *Albumu*, która, jak pod względem swej treści, tak i pod względem wykonania, znacznie nad trzema poprzednimi góruje.

Zawiera się w niej widoków trzydzieści; cały więc zbiór doszedł obecnie do pokaźnej cyfry aż 140, a że każdy widok zdjęty jest z natury, że gubernie: Mińska, Wileńska, Grodzieńska, Kowieńska, Mohylewska, Witebska, Kijowska, Wołyńska i Podolska złożyły się na tę jedyną w swym rodzaju, galerię obrazów, łatwo więc pomiarkować ile to trzeba było odbyć wycieczek, aby z tak ogromnej przestrzeni kraju zebrać do swojej teki wizerunki conajbardziej przednie; ale trudno zaprawdę pojąć, jak siły pojedyncze mogły na to wystarczyć, i to siły człowieka, siedm już krzyżyków noszącego na swoich barkach. Słusznie więc tu rzec można: *amor omnia vincit*; gdyż trzeba jeszcze wiedzieć, że wydane dotychczas cztery serye *Albumu* nie zawierają ani czwartej części tych skarbów, które Orda ma w swoich tekach, i że lubo kosztą ogromne, jakich to wydawnictwo wymaga, nie pozwalają na to liczyć z pewnością, aby ono dalej prowadzonym być mogło, zamiłowanie jednak sędziwego pracownika tak jest gorącym, iż, nieczem niezrażony, wybiera się on obecnie znowu w podróż, chcąc przenieść na papier nowe widoki miejsc na upamiętnienie zasługujących.

Serya IV, którą mamy przed sobą, składa się przeważnie z widoków gubernij: Wileńskiej, Kowieńskiej, Mińskiej, Grodzieńskiej. Są tu między innymi: *Lida*, z ruinami zamku, zbudowanego przez Gedyminę; *Dubinki* ze szczątkami zamku Radziwiłłowskiego, gdzie się urodziła i zamieszkiwała Barbara; *Gierajony* ze zwaliskiem gniazda Gasztołdów, gdzie przebywała też Barbara, będąc żoną Stanisława Gasztołda; *Knyshyn* z resztkami murów zamku, gdzie ostatnie dni życia Zygmunt August przebywał; *Miedniki*, gdzie synowie Kazimierza Jagiellończyka nieraz gościli ze swym mistrzem Długoszem, gdzie później Kazimierz Święty lubił szukać ciszy i samotności, i gdzie wreszcie lat kilka spoczywały jego zwłoki błogosławione, zanim je uroczyście przeniesiono do Wilna. Dalej jest tu *Giegdudów*, *Raudań*, z zamkami wzniesionymi jeszcze przez Krzyżaków; *Kamieniec Litewski* ze spustoszoną basztą, niegdyś oborną, a wzniesioną jeszcze w trzynastym wieku dla zabezpieczenia tej ziemi od napaści Jazdowców; *Nieśwież*, pamiątkowa Radziwiłłów siedziba, z dobrze zachowanym do dziś dnia zamkiem mieszkalnym, i zamek w *Mirze*, jedna z najpiękniejszych i najwspanialszych ruin. Z miejsc pamiątkowych urodzeniem, pobytem albo zgonem sławnych i zasłużonych ludzi, znajdujemy tu *Giejsuny*, gniazdo rodzinne A. E. Odyńca; *Dziwiewitnie*, — Ignacego Chodźki; *Janów*, własność niegdyś księdza Stanisława Chołojewskiego, gdzie ujrzał świat Stefan Witwicki; *Szwory* Teodora Narbutta; *Smolhow*, gdzie się urodził Syrokomla; *Skoki*, które były kolebką Niemcewicza i inne.

Nie mogąc się szerzej rozpisywać nad tą szacowną ze względu zwłaszcza na swą pamiątkową wartość publikacją, musimy ograniczyć się na samem już tylko wymienieniu nazw reszty miejscowości, w tej seryi zawartych, które są: Krewa, Nowogródek, Ołyka, Oświej, Liszków, Zemłostaw, Beresteczko, Homel, Białynicze, Towiany i Pecza-ra, jedna z najbardziej malowniczych siedzib magnackich na Podolu nad Bohem.

Dodać tu jeszcze powinniśmy, że dotąd wydawnictwo to prowadzone było przez p. Orde, dzięki tylko tym ludziom dobrej woli, którzy umieli poznać i ocenić znaczenie jego pracy i chętnie prenumerując *Album*, dostarczali środków materialnych; w miarę wszakże przybywających nowych seryj, a ztąd wzrastającej ceny całości, liczba przedpła-cicieli coraz-to się zmniejszała, tak, iż obecnie pan Orda widzi się przymuszonym dalszej publikacji zaniechać. Wielka szkoda! Publiczność powinna zrozumieć, że to przecież nie książka w kilku tomach, połączonych jednością treści, i że każda z tych seryj, choćby osobno wzięta, sama w sobie całość stanowi i może być cennym nabytkiem, a bynajmniej nietrudnym do zyskania, — zeszły bowiem z 30 rycin dziewięć tylko rubli kosztuje.

— Zgon hr. Władysława Tarnowskiego wątpliwości ulegać już nie może. *G. Polska* w jednym z numerów na początku Czerwca wydanych zamieszcza list z San-Francisco, donoszący, iż zdolny poeta, pisarz i kompozytor żyć przestał w dro-

dze morskiej z Yokohamy w Japonii do San-Francisco w d. 19 Kwietnia r. b. na statku *City of Tokio*. Werdykt jury kryminalnego orzeka, że śmierć nastąpiła z przyczyny niewiadomej. Zwłoki mają być sprowadzone do kraju. Smutna to strata, — ten zgon człowieka, na którym tak wielkie a pewne zakładano nadzieje.

— Pozostałość rękopiśmienna po Fr. M. Sobieszczańskim nie jest jeszcze publicznie wiadoma. Między innemi o *Słowniku geograficznym* polskim wiadomości niepewne. Podaliśmy tu szczegół, że dotyczy on tylko Polski dawnej; podobno zaś mają w nim być uwzględnione i obecne stosunki geograficzne. *Historia Warszawy* z pewnością znajduje się w pozostałości, która według doniesień codzienników przekazana jest Bibliotece Ordynacji Zamajskich i w takim razie dostałaby się w dobre ręce, bo p. Józefowi Przyborskiemu. — Wiadomość o spaleniu przed śmiercią pamiątek, które spisywał zmarły dnia 23 Kwietnia *Juliusz Strutyński*, z powątpiewaniem tutaj podana, okazuje się mylną. *Pamiętniki* zostały; pierwsza ich część już się drukuje w Krakowie i w niedługim czasie zjawi się w księgarniach.

— Wyszedł już zapowiadany na tem miejscu X-ty tom *Źródeł dziejowych*. Obejmuje on *Sprawy Włoskie za Jagiellonów*, złożone z aktów i listów współczesnych. Poprzedził je wydawca naukowy, p. Alexander Jabłonowski, obszernym *Szkicem historycznym*. Tomy VII, VIII i IX *Źródeł* wyjdą później. Pożyteczne to wydawnictwo miałoby większe rozpowszechnienie, gdyby nie nadzwyczajnie wysoka cena: dwadzieścia złotych za tom.

— Czasopiśmiennictwo prowincjonalne, chociaż skromne jeszcze i ubożuchno wyglądające, ciągle się jednak rozwija. Lublinowi zamało było dwóch dzienników wychodzących po trzy razy na tydzień: jeden z nich, *Kuryer Lubelski*, od 1 Lipca wychodzić będzie codziennie. Od tej daty także ciągle umierający i ciągle zmartwychwstający *Tydzien* piotrkowski ma nowego życia nabrać pod nowym kierunkiem, p. *Mirostawa Dobrzańskiego*, który dał się już poznać z udatnymi wierszykami. „Krytycyzm i żywotność będą kierownikami nowej redakcji — czytamy w prospekcie — prawda i postęp jedynem jej wyznaniem wiary“. To *Wyznanie wiary* jest tu wyrażeniem konwencyonalnem i czytelnicy obecni i przyszli *Tygodnia* nie powinni obawiać się ateizmu, nie powinni go też *respectively* z góry szukać w odradzającym się piśmie. Od 1 Lipca zaprowadzona zostanie przy *Tygodniu* nowość niebywała w czasopiśmiennictwie prowincjonalnem: dodatki bezpłatne powieściowe i romansowe. *Kor. Płocki* zupełnie prawie aż do bieżącego roku belletrystykę pomijał; w roku bieżącym zaś niewielki płaci jej haracz; ale jak zawsze tak i teraz stale usiłuje czynić zadość rzeczywistym potrzebom, dla jakich istnieje: obnajomianiami z życiem społecznem prowincyi i warunkami jego fizycznymi, ekonomicznymi, administracyjnymi, obyczajowymi — i usiłowania te dobry wogóle skutek uwieńcza. Inne pisma prowincjonalne powinny sobie wziąć za wzór *Korrespondenta*.

Warszawa też mająca już 8 pism codziennych, zyskuje jeszcze jedno: *Nowiny*, które od d. 1 Lipca r. b. z tygodnika zamieniają się w codziennik, pod redakcją pp. Erazma *Piltza*, Piotra *Chmielowskiego*, Karola *Dunina*, Stanisł. *Kramsztyka*, Leopolda *Mikulskiego*, Bronisł. *Reichmana*, Filipa *Sulimierskiego* i Daniela *Zglińskiego*. Ma to być pismo poświęcone polityce, literaturze, sprawom społecznym i brukowym. Redaktorze w prospekcie głoszą: „Niema dla nas kwestyj drażliwych i niepodpadających rozbirowi; wszystkie owszem zagadnienia, dotyczące życia i wiedzy, rozpatrywać będziemy przy pochodni krytyki niezależnej, wolnej od wszelkich przesądów i stronnicej niechęci. Unikanie dyskusyi w pewnych kwestiach jest furtką, przez którą wciska się niedołęstwo lub zła wola“. Pochodnia, przy której światło w ciemnościach, jakich dotychczasowa prasa rozproszyć nie zdołała, nowa prasa działać będzie, jest bezwątpienia bardzo chwalebna; mamy tylko wątpliwość: azali całego owego postanowienia — nie podyktował raczej zapal młodziuchny niż trzeźwa rozwaga? Na początek zresztą zapal nie zaszkodzi. Życie samo zimną wodą obleje — a ma jej podostatkiem. *Nowiny* będą organem wielkim — współrzednym *G. Warszawskiej*,

Polskiej, *Wiekowi* i wreszcie *Echu*, które, jeśli nie z mięsa to z pierza, za wielki organ uchodzi.

W liczbie stałych współpracowników *Nowiny* spotykamy nazwiska: Każ. *Jarochowskiego*, Tad. *Korzona* obok nazwisk: *Jeża*, *Wład. Spasowicza*, *Lama*, *Al. Świętochowskiego* (Prz. Tygodniowy) i innych.

— Mamy już przed sobą 10 zeszytów *Dwutygodnika naukowego* krakowskiego. O 4-ch pierwszych mówiliśmy już na tem miejscu. Po dokończeniu w zeszycie VII *Kamiennej karty dziejów* p. Teodora Ziemięckiego, w następnym rozpoczęto z tegoż samego działu, archeologii — pracę tegoż samego autora p. t.: *Mieszkańcy osad nawaodnych*, która w zeszycie X nie była jeszcze ukończoną. Są to dwa najobszerniejsze i zarazem najgłówniejsze wypracowania ze wszystkich dotychczasowych w *Dwutygodniku*, oba napisane źródłowo, przez człowieka znającego i przedmiot i jego literaturę, irzeczywisty pożytek czytelnikowi przynoszą. Na niższym stopniu stoi praca p. Kirkora: *O znaczeniu i ważności zabytków pierwotnych, oraz umiejętnej ich poszukiwaniu* (zeszyt VII i VIII); jestto przedruk odczytu publicznego. Cenne, — z nadzwyczajną pracowitością spisane, są *Notatki numizmatyczne* ks. Polkowskiego (w zesz. V, VI i X), w których autor podał dotychczas dzieje dwóch mennic: Bydgoskiej i Elbląskiej, tej ostatniej dopiero w połowie. Przeciwno samemu początkowi tej pracy, możnaby pewnie, powściągnąć zapal szanownego numizmatyka, zastrzeżenie uczynić. Zdanie Lelewela wypowiedziane w *Historyce*, nie upoważnia do twierdzenia, że „stare i dawne pieniądze i medale, najbardziej rozświecają nam dzieje narodów“ (str. 112). Zbyt specjalnemi wydają się *Spostrzeżenia Ludwika Leguay nad sposobem rytowania na kości w czasach przedhistorycznych*. Wogóle, nienarzucając bynajmniej redakcji swojego zdania, ośmielamy się zwrócić jej uwagę na potrzebę większego wzbogacenia działu lingwistycznego i ściśle historycznego, opowiadającego wypadki dziejowe. Dotychczas w 10-ciu zeszytach (na 15 arkuszach) właściwie znajdują się dwie tylko prace, pod tytuły tu wskazane podpadające: *O Haliczu Słowackim*, zbijająca hipotezę Halicza za Karpatami (Bielowski), oraz *O obrazie pierwotnej Polski* pana Bobrzyńskiego, wykazująca małą wartość tego operatu. Obie te jednak prace, wyszły z pod pióra p. M. Chylińskiego, raczej do krytyki historycznej aniżeli do historii dodatniej, działającej i tworzącej, zaliczone być winny. Zresztą obie one bardzo mało miejsca w stosunku do ogółu zajmują; *Pieśniczany zaś i ich dziedzice*, są podrzędного znaczenia i do historii drobnostkowej należą.

Na str. 172 i 173 w zeszycie VII-ym poruszona jest sprawa znanej obojętności ogółu dla wydawnictw i całej działalności Akademii. Wyrok w tej sprawie dawno już zapadł — i apelacya na niego się nie przydała. Powszechność nasza, istotnie, skutkiem niskiego jeszcze stanu oświaty i niewysokiego stanu gorliwości społecznej, zamało ma jednostek żyjących życiem umysłowym, a dbałych o to, aby najwyższa magistratura pracy naukowej, nie była w działalności swej odosobnioną, jakby na pustyni. Tak tylko ukształtowane jednostki akademiami, uczonością, nauką i jej postęпами zajmować się mogą, o ile same od siebie do pomnażania ruchu naukowego się nie przyczyniają. Takich jednostek *co ipso* między redaktorami i współredaktorami czasopism, szukaćby należało — i zarzut p. Ziemięckiego, przeciwko pismom naukowym i literackim skierowany, jest najzupełniej słusznym, w części też i my go przyjmujemy na siebie. Ale jest jeszcze druga strona medalu, i tę sprawiedliwie p. Ziemięcki ukazuje: sama Akademia zanadto się w chmury Jowiszowe obwija. Będzie już dobrze rok temu, w rubryce niniejszej, zastanawiając się nad złem, podaliśmy Akademii myśl ogłaszania comiesięcznych sprawozdań z czynności wszystkich wydziałów i wszystkich komisyj. Sprawozdania takie, wszystkim pismom przesyłane i po niskiej cenie prenumeracyjnej dla ogółu udostępnione, znacznie-by się przyczyniły do przełamania tych lodów obojętności, których istnienie z takim smutkiem dziś stwierdzać potrzeba.

Akademicy nie czytują *Bluszczy*, ale dobrze byłoby, gdyby się od przyjaciół swoich przynajmniej dowiadywali: azali niema w pismach pospolitych

czego, coby obchodziło Akademię? Tak np. podany przez nas projekt ułożenia racjonalnej bibliografii historycznej polskiej nawet do wiedzy akademików nie doszedł; nie ujmujemy się tu za nim dla niego samego, bo mógł on być, przypuścimy, złym w teorii i złym w praktyce, — ale dla dyskusyi, jakaby wywołać musiał.

Pan Ziemięcki, uznając niedostateczność dzisiejszych sprawozdań, stawia za wzór relacje krótkie paryskiej akademii *Des inscriptions et belles-lettres*. My poszlibyśmy jeszcze dalej. Relacje podają kontrowersye: mybyśmy chcieli syntetyczniejszego przedstawienia każdej sprawy pod rozbiór przychochodzącej. Streszczenia dzieł i rozpraw pod uwagę ciała uczonego poddawanych, z głównym naciskiem na ich myśli przewodnie, na nowość i oryginalność tez i poglądów; obrazy roztrząsań dokonywających się w kommissjach i na wydziałach; kreślenie zamiarów i pomysłów w biegu będących; uwydatnianie postępu wszelkich prac szczegółowych na dłuższy czas podejmowanych; wszystko to dałoby obraz zarazem oświecający i zachęcający do bliższego poznania działalności akademii. W ten sposób instytucya ta wkupiłaby się w tę lepszą arystokratyczną część ogółu, która nie żyje jedynie tylko dla zmysłów i dla grosza.

Na str. 173 pan Ziemięcki miał odwagę chwalebna zwrócić się ku samej Akademii z zarzutem bezpośredniej już uczonego tego ciała dotykającym. Oto kommissye naukowe, przy Akademii i w samym łonie jej istniejące, nieraz po całe pół roku nie zbierają się na posiedzenia, a zebrawszy się, nie mają co robić. Tu już ustawałaby wina ogółu. *Sapienti sat*.

Ale wróćmy do *Dwutygodnika*. Dział recenzyj przedstawia w dziesięciu zeszytach dziesięć pozycji. Jestto dostateczne; bo nie ilość tu zresztą, ale jakość stanowi. Zwrócilibyśmy tylko uwagę, że zamiast dawać po pięć recenzyj naraz, tak jak w zeszycie IX, lepiej byłoby w każdym zeszycie dać jedną recenzję; wprowadzona rozmaitość, ożywiłaby wydawnictwo. Pod innym zato względem, Redakcyja przestrzega właściwego układu zeszytów: w każdym są *Wiadomości* starannie zebrane *Bibliografja* i *Sprawozdania z posiedzeń Akademii i Towarzystw Naukowych*, które coraz większej pełności nabierają i wyraźnie zmiierzają do takiego ideału, aby przedstawiać mogły peryodycznie obraz działalności ciała uczonego w Europie i Ameryce, w zakresie archeologii, historii i lingwistyki — trzech nauk, dla których właśnie pismo założonem zostało. Dział krytyczny jest zajmującym, szkoda tylko wielka, że Redakcyja nie postarała się o taką chociażby recenzję, a raczej sprawozdanie z dzieła *Brüggena*, jakie zamieściło *Ateneum* warszawskie. Recenzja w *Dwutygodniku* pisana jest przez człowieka mało jeszcze obytego z historią i niebardzo znającego epokę, którą Brüggem w swoich, bardziej literackich niż naukowych, wypracowaniach opisuje. Oryginalną jest a na wskrós fałszywą reflexyą, jaką recenzent przyczepia do reflexyi znowu Brüggena nad Branickim (str. 183 oryg. niemiec. i str. 218 *Dwutygodnika*). Szczerze pragniemy rozwoju nowego pisma, które wzięło sobie za cel rozpowszechnienie wiedzy w jej dziedzinie najżywiej i najpowszechniej zajmującej: w historii. Tylko raz jeszcze powtarzamy: potrzeba spotęgować działalność istotnie dziejopisarską. *Dwutygodnik* ma debiet w Królestwie i Cesarstwie.

RUCH MUZYCZNY.

Nowy fortepian o dwóch klawiaturach, pomysłu p. Józefa Wieniawskiego. — *Zacy Krakowscy* Hoffmana. — Tenor, p. Zakrzewski na scenie Warszawskiej.

Przed paru już tygodniami autor „Pogawędki“ w *Bluszczy* wspominał o tryumfach, jakie odnosi w Paryżu rodak nasz p. Zarebski, grając na fortepianie o dwóch klawiaturach, zbudowanym według pomysłu udzielonego przez Józefa Wieniawskiego p. Mangeot fabrykantowi fortepianów,

będącemu, jak się zdaje, wespół ze znanym pisarzem i dyletantem Oskarem Commettant. O genezie tego wynalazku i o jego praktycznej doniosłości chcielibyśmy tutaj powiedzieć słów parę.

Każdemu z fortepianistów, zajętych, bądź nauczaniem, bądź pracą nad własnym mechanizmem, przedstawiała się niejednokrotnie niedogodność pewnych zwrotów dla jednej z rąk tylko wygodnych, które dla ręki drugiej są niezmiernie trudne. Przyczyna tego faktu leży w tem, że budowa rąk jest symetryczna, a zatem przeciwna. Jeżeli w prawej ręce pierwszy palec jest po lewej stronie, a piąty po prawej, — w ręce lewej ma się rzecz zupełnie przeciwnie. Tym sposobem grając np. gammy, wprawiamy rzeczywiście lewą ręką passaż zupełnie odmienny od tego, jaki gra ręką prawą. Pragnąc, aby w niektórych np. razach, ręka lewa wyuczyła się *tego samego passażu* co prawa (t. j. aby palce miały ten sam układ), trzeba było dla własnej wprawy komponować sobie passáže, bynajmniej nie harmonijne, i tem samem w praktyce niemożliwe. Taką sztuczną zabawkę robili sobie jednak niektórzy fortepianiści. I ja kiedyś wpadłem na ten pomysł, że jeśli sobie wziąć za punkt środkowy klawisz *as* czyli *gis*, klawisze inne bądź na prawo, bądź na lewo, ułożone będą w odpowiednim sobie porządku (symetrycznie), według którego możemy sobie każdą gammę lub passaż przełożyć z jednej ręki na drugą. (Np. akkord *gis, h, d, f*, do góry, odpowiada akordowi *gis, f, d, h*, na dół; gamma *as dur* do góry; składająca się z klawiszy *as, b, c, des, es, f, g, as* w odwrotnym kierunku grana wyglądałaby tak; *gis* (czyli *as*), *fis, e, dis, cis, h, a gis*; gamma *c dur* do góry, gdzie półtony są, jak wiadomo, między 3 i 4 oraz 7, 8 stopniem, musiałaby dla symetrii, zaczynać się od *e* i iść na dół w tym kierunku: *e, d, c-h, a g f e*, co zresztą już dawno w nauce kontrapunktu jest wiadome). P. Józef Wieniawski zapewniał mnie (gdyśmy kiedyś mówili o tej kwestyi) że i sam Rubinsztajn interesował się tem, i zabawiał nieraz przekładaniem passażu z lewej ręki na prawą, co jednak, jak się każdy łatwo przekona, nie było najczęściej dla ucha harmonijnem. (Najciekawszy pod tym względem, i o ile mi wiadomo, jedyny passaż zupełnie symetryczny dla obu rąk, i harmonijnie brzmiący, znajduje się w trzeciej etiudzie Moschelesa (*G dur*). Zaczyna się on od dwóch tercji *ce* i *ec*, pierwszą u góry bierze ręka prawa, drugą u dołu lewa, i obie biegną ku sobie, przyjmując w całym passażu zupełnie *te same* pozycje).

Otóż z zastanawiania się nad tym symetrycznym układem rąk zrodził się w umyśle p. Wieniawskiego pomysł zbudowania klawiatury odwróconej, na której ręka lewa odnajdywałaby (na tych samych klawiszach rozumie się) pozycje grane przez rękę prawą na zwyczajnej klawiaturze, i odwrotnie. Takie to fortepian właśnie jest przedmiotem ogólnego podziwu na obecnej wystawie Paryskiej. Jego klawiatura górna jest nieczem innem tylko odwróconą klawiaturą dolną, w której ton najgrubszy jest u góry, a najcieńszy u dołu (t. j. po lewej stronie). Rozumie się, że olbrzymiej techniki było potrzeba, aby w tak krótkim stosunkowo czasie (po dwumiesięcznej ledwo pracy) dojść do zawiąznięcia tak potężnie owemi dwiema klawiaturami, jak to uczynił Żarebski. Czy jednak ten wynalazek, tyle praktyczny i logiczny ze stanowiska mechanicznego, okaże się równie ważnym ze strony duchowej? Trudno nam dziś jeszcze o tem sądzić, nie znając zwłaszcza tego nowego instrumentu. W każdym razie da nam niezaprzeczenie wiele nowych i efektownych kombinacji — a i to niemało. W praktyce będzie to połączenie w osobie *jednego* wykonawcy *dwóch fortepianów*, gdyż jeden okazuje się już za *łatwym* dla dzisiejszych wirtuozów!

Wysłuchaliśmy niedawno z prawdziwą przyjemnością, znanej nam z pochwał pism galicyjskich operetki *Zacy Krakowscy*, kompozycji K. Hofmana. Wykonanie w Eldorado nie było odpowiednie; orkiestra, zbyt nieliczna, nie mogła dobrze wypełniać całości: wszakże rzecz sama, starannie wystudyowana, przedstawiała się dość jasno, aby można jaknajpochebniej wyrazić o niej zdanie. Jest to komponowane bez pretensyi, a ze znajomością rzeczy; temata wdzięczne, oryginalne, instrumentacja dowcipna; nigdzie trywialności, choć komizmu dużo. Libretto treści zbyt niewinnej, do-

starczyło jednak parę niezłych sytuacji; ale cały pomysł zakończenia uważamy za chyby, i możemy to napisać śmiało w tem przekonaniu, że można by to jeszcze zmienić z wielkim pożytkiem dla samej opery. Intryga, zawiązana dość zręcznie *przez samego autora* na początku aktu II-go (jeśli dobrze pamiętam, czy też może w ostatniej scenie aktu I-go) polegała na tem, że Zbigniew, pragnąc zmusić starego pedagoga Hyacynthusa do zezwolenia na związek jego siostrzenicy Zosi ze swoim znowu kuzynem, młodym Zakliką, — miał się ukazać temuż Hyacynthusowi w postaci dyabła i strachem wymóżyć zezwolenie. Takie nadszpiegowane zjawienie się dyabła mogłoby być nader efektownem, zwłaszcza urządzając, jak to właśnie Zbigniew projektuje — jakieś zakulisowe czy podziemne chóry, przydające grozy scenie. Tymczasem dobrowolne wywołanie dyabła osłabia doniosłość tego zjawiska — a nieszczęśliwa myśl odmładzającego eliksiru daje nam tylko długą i zbyt już zużytą scenę upicia się, co gorzej, bez muzyki, na czem przedstawienie niezmiernie traci pod każdym względem. Zdaniem mojem, można by z łatwością przerobić akt II-gi według tego wybornego planu samego autora — rzecz przez to mogłaby być krótszą, bogatszą pod względem muzycznym i efektowniej zakończoną.

Oprócz sympatycznego galicyjskiego kompozytora, mieliśmy obecnie sposobność poznania wielce sympatycznego śpiewaka ze Lwowa, p. Zakrzewskiego. Młody ten artysta zadziwił nas istotnie bogactwem swego repertoaru i bezprzykładną łatwością, z jaką od jednej do drugiej przerzuca się roli. W przeciągu dni 10 wykonana: Marta, Traviata, Halka, Faust, Aida, Hugonoci — wszędzie dużo przymiotów, które każą milknąć zbyt surowej krytyce i zapominać o niektórych niedostatkach. Pan Zakrzewski frazuje często za rozciągłe, czasami trochę niejednostajnie — ale za to posiada w śpiewie nieklamane uczucie, skarb prawdziwy.

Pan Zakrzewski nie ma głosu olbrzymiego, jest to głos dość cienki, rzekłbym *lekki*, może nawet koloraturowy (jak tego dowiodły niektóre ustępy), ale miły, i conajważniejsza, nie przechodzący nigdy w krzyk i rozpaczliwe jakieś *wolanie*. Pan Zakrzewski *śpiewa* i jego efekta ściszenia głosu i wogóle pianissima są bardzo ładne, nóty wysokie (które woli niż niskie) — są bardzo czyste, pewne i dźwięczne. Jako aktor, jako śpiewak, ma pan Z. niektóre mniej dobre przyzwyczajenia, na których sprostowanie trochę jeszcze doświadczenia trzeba, a najlepszą radą, jaką dać można młodemu artyście jest ta, aby się na kilka miesięcy oddał pod opiekę Dobrskiego. Widzieliśmy niedawno jak na tej opiece dobrze wyszedł p. Wołoszko. Pani Dowiakowska odbiera od całej prasy zasłużone pochwały; i istotnie znakomita artystka zmieniała sposób wydobywania głosu w niektórych ustępach, tak, że nie dziś nie razi jaskrawością w jej śpiewie — zmiana ta niezmiernie korzystnie oddziaływała na całość wykonania. Przykładem to być powinno dla innych artystek, że nawet ten, kto dużo umie, jeszcze pracować powinien, i *postęp uczynić może*. Szczególniej panna Wojakowska pamiętać o tem powinna, gdyż intonacja jej coraz bardziej szwankuje — a szkoda pięknego talentu!

Jan Kleczyński.

HISTORIA ZBRODNI

T O M II.

DZIEŃ CZWARTY.

Zwycięstwo.

(Dalszy ciąg).

Generał Bédeau miał okno wychodzące na podwórze wewnętrzne fortecy. Podszedł więc do okna i ujrzał tam latarnie migające się w tę i ową stronę, jakieś karyolki zaprzężone i kompanię 48-mą pod bronią.

Wkrótce potem ujrzał wchodzącego na podwórze generała Changarniera, który wszedł w karyolkę i odjechał. W kilku minut potem dostrzegł Charrasa, który ujrzał go przy oknie i krzyknął: Do Mons!

Zdawało mu się rzeczywiście, że jedzie do Mons, przezco nazajutrz generał Bédeau obrał sobie za miejsce pobytu Mons, przekonany, że tam zastanie Charrasa.

Kiedy Charras odjechał, nadszedł pan Leopold Lehon w towarzystwie komendanta fortecy, pokłonił się generałowi, wyłómaczył swoją missę i wymówił swoje nazwisko. Generał ograniczył się na tej odpowiedzi: „Skazujecie nas na wygnanie — jest to nowa nieprawość i niegodziwość. Zresztą z ludźmi, którzy pana przysyłają, niema co i rozprawiać.

Kazano mu jechać dopiero nazajutrz. Ludwik Bonaparte rzekł:

— Trzeba *rozdzielić przestrzeni* generałów.

Agent policyjny, eskortujący generała Bédeau do Belgii, był jednym z tych, którzy w d. 2 Grudnia uwięzili Cavaignaca. Opowiedział też generałowi, że w chwili aresztowania Cavaignaca, nie był pewnym 50 ludzi, którzy mu jako straż towarzyszyli.

W oddziale wagonu, który wioził generała Bédeau do Belgii, siedziała kobieta światowa, postaci bardzo dystygowanej wraz z trogiem dzieci. Służący w liberyi, wydający się Niemcem, trzymał dwoje dzieci na kolanach, troszcząc się o nie bardzo kłiwie. Zresztą generał, ponieważ to było w nocy i zakryty płaszczem pod uszy, niewiele zważał na tę grupę. Kiedy dojechano do Quiévrain dama zwróciła się ku niemu i rzekła:

Panie generale, winszuję panu. Teraz jesteś już bezpieczny.

Generał podziękował i zapytał ją o nazwisko.

— Baronowa Coppens — odrzekła.

Przypominamy, że u p. Coppens na ulicy Blanche, zgromadziła się była w dniu 2 Grudnia lewica poraż pierwszy.

— Pani masz ładne dzieci — rzekł generał i dodał: I dobrego służącego.

— To mój mąż — odrzekła pani Coppens.

P. Coppens w samej rzeczy przesiedział pięć tygodni w ukryciu w swoim domu. Wymknął się z Francji teje nocy po liberyi swoich służących. Dzieci nauczono, jak się mają zachowywać. Przypadek zrzucił, że weszli do tego samego wagonu co gen. Bédeau i jego agenci — a pani Coppens w śmiertelnym była strachu przez noc całą, iżby który z małców, obudziwszy się, nie skoczył mniemanemu służącemu do szyi i nie krzyknął: Papo!

* * *

Ludwik Bonaparte wypróbował większość tak jak się próbuje mostu; obiecał ją nielegalnościami, wykretami, nadzwyczajnościami, jak okrzykami: Niech żyje cesarz, rozdawnictwem pieniędzy między wojsko, sprzedażą po ulicach dzienników bonapartystowskich, zakazaniem dzienników republikańskich i parlamentarnych, przeglądami w Satory, mówkami w Dijon; — większość udziwnęła wszystko.

— Dobrze — rzekł — zamach stanu przejdzie tedy. Trzeba sobie przypomnieć fakta. Przed 2 Grudnia zamach stanu robił się cząstkowo, tu i tam, wszędzie potrosze, dosyć czelnie, — a większość uśmiechała się.

Deputowany Pascal Duprat karciał bezprawie policyjnych agentów: — „To dziwne” — mówiła prawica. — Deputowany Danie został zamknięty. — Wybornie! — Deputowany Sartin został uwieziony. — Brawo! — Pewnego pięknego poranku, kiedy wszystkie zawiąsy były dobrze wypróbowane i nasmarowane, kiedy wszystkie ogniwa były dobrze przymocowane, — zamach stanu dopełnił się *en bloc*, nagle: większość śmiać się przestała; ale rzecz się udała. Nie spostrzegła się ona, że oddawna już, podczas gdy ona śmiała się z duszenia innych, sama już miała powrót na szyi.

Zamach stanu na kilka miesięcy przed wykonaniem już był zrobiony. Kiedy dzień nadszedł, godzina wybiła, mechanizm cały, już nastrojony, potrzebował się tylko poruszyć. Nie powinno było niczego braknąć i niczego też nie brakło. Co byłoby otchłanią, gdyby większość spełniła była swój obo-

wiązek i zrozumiała solidarność z lewicą, to wyszło za ledwo na jakąś zawadę.

Niepogwałcalność zniweczona została przez nie-pogwałcalnych. Ręka żandarmów, przywykła do kółnierza deputowanych tak, jak do kółnierza zło-czyńców; chusta na szyi ludzi stanunie uraziła pięści zbirów: więc też można było uwielbiać pana wicehrabiego de Falloux—o naiwności!—osłupiałego z tego powodu, że się z nim tak samo obchodzą jak z obywatelem Sartin.

Większość doszła, cofając się i bijąc ciągle okla-ski Bonapartemu, do jamy, w którą ją on wtrącił.

* * *

Zachowanie się lewicy republikańskiej w tej ważnej chwili 2 Grudnia, stało się pamiętnem.

Sztandar prawa leżał zwalony na ziemi, w bło-cie powszechnej zdrady, pod stopami Bonapartego. Lewica podniosła ten sztandar, zmyła to błoto krwią swoją, rozwinęła go w oczach ludu i trzyma-ła od 2 do 5 Grudnia w szachu Bonapartego.

Kilku ludzi, garstka stu dwudziestu przedstawi-cieli ludu, uniknąwszy cudem więzienia, pogrążeni w ciemnościach i w milczeniu, niemając za sobą nawet tego okrzyku prassy wolnej, który bije na gwałt i zachęca walczących, bez generałów na swe rozkazy, bez żołnierzy, bez amunicji, zeszło w uli-ce, zamknęli odważnie przejście zamachowi stanu i wydali bitwę tej ohydnej zbrodni, która przed-sięwzięła wszelkie ostrożności, opancerzyła się ze wszech stron, otoczyła się lasem bagnatów, każąc za sobą szczekać: kartaczownicom i armatom.

Miano przytomność umysłu, która jest widoczną nieustraszonnością; miano — mimo niepowodzenia — natchnienie potężne obowiązku, nigdy niedające się ugiąć. Nie miano drukarni, otrzymano ją; nie miano karabinów, dostano je; nie miano kul, ulano je; nie miano prochu, zrobiono go; nie miano nie-prócz kamieni brukowych, a wywołano zpod ziemi walczących.

Prawda, że te bruki były brukami Paryża, —ka-mieńmi, które się przemieniają w ludzi.

A taką jest potęga prawa, że przez cztery dni, tych 120 mężów, nie mając za sobą nie prócz do-brej sprawy, przeciwważyło armię w stutysiącach żołnierzy. Przez chwilę nawet, zwycięstwo wahało się po ich stronie. Dzięki im, dzięki oporowi, po-partemu oburzeniem ludzi uczciwych, nadeszła go-dzina, w której zwycięstwo prawa zdawało się mo-żliwem, a nawet pewnem.

W d. 4 Grud. zamach stanu zachwiał się, zmuszo-nym będąc oprzeć się na rzezi. Wiadomo, że gdyby nie ta rzeź na bulwarach, gdyby L. Bona-parte nie był się ratował tym środkiem, nie był wpadł z jednej zbrodni w drugą, — byłby zgubionym.

W czasie długich godzin tej walki, walki bez odpoczynku, walki przeciw armii w dzień a policyi w nocy, walki nierównej, w której cała siła była z jednej strony i cała wściekłość, a z drugiej, jak rzekliśmy, prawo tylko, —ani jeden z tych 120, ani jeden nie uchybił swemu obowiązkowi, ani jeden nie uciekł przed niebezpieczeństwem, nie stehó-rzył, nie zesłał.

Wszystkie te głowy stanęły śmiało pod nożem, czekając przez cztery dni, aby je odciał.

Dzisiaj uwieszenie, deportacja, wygnanie. — bo nóż padł prawie na wszystkie te głowy.

„Należę do tych — mówi autor — którego jedyną zasługą jest to, iż około jednej myśli zgromadził odwagę wszystkich, lecz muszę oddać tu pochwałę tym ludziom, pomiędzy którymi miałem zaszczyt służyć przez 3 lata świętej sprawie postępu, tej le-wicy spotwarzanej, znieważanej, niepoznanej a nie-ustraszonej, która stała zawsze na wyłomie, która nie uległa się sprzysiężenia ani wojskowego, ani parlamentarnego, a która objawszy mandat dany jej przez lud, broniła go, gdy się sam bronić nie

chciał, broniła go z trybuny słowem, a na ulicy — mieczem.“

(Dalszy ciąg nastąpi).

DROBNE LISTKI.

W dziele uczonego *Włodka*, wydanem w Rzymie w r. 1780 p. t. *O naukach wyzwolonych w powszechności i w szczególności* — dziele dziś rzadkiem i prawie zupełnie a niesprawiedliwie zapomnianem, wśród wielu rozumnych myśli, spostrzeżeń, porównań i sądów, wśród mnóstwa wiadomości o rzeczach swojskich i obcych, dowodzących wielkiej erudycji autora, — znajduje się zwięzła charakterystyka mieszkaućw rozmaitych ziem i miejscowości, z której tu najgłówniejsze orzeczenia, dotyczące nomenklatur bardziej znanych, dla zajęcia, jakie wzbudzić mogą, czytelnikowi podajemy. Autor nie kreśli tej charakterystyki od siebie, lecz raczej tylko przywodzi ją jako wyraz panującej za jego jeszcze czasów opinii jednych ziem i miejscowości o drugich, weale się z opinią tą niełącząc, i przeciwnie nawet wyraźnie mówi: „Moja rada nikomu w tym nie wierzyć, bo nie masz żadnej cnoty ani grzechu krajowego“. Niektóre z tych określeń jako zdania pospółstwa podanych były na ustach całej powszechności — a może i niejedno z nich do dziś dnia jeszcze przetrwało; tem żywiej więc zająć może.

Wykaz swój poprzedził Włodek charakterystyką czterech wielkich prowincyj taką: *Wielkopolsanie* są wielkiej głowy, ale małego serca; *Małopolsanie* małego rozsądku, większej odwagi; *Litwini* prości, ale mściwi, podobnież *Prusacy* — szczerzy, ale zawzięci.

Tu zaczyna się dopiero słowniczek rozmaitych miejscowości: *Bełżanie* są do prawa, nie do korda; *Brześcianie* do kufła i do pióra; *Brzeżnianie* przykładni, ale niebitni; *Bielszczanie* mężcy, ale chępliwi; *Bydgoszczanie* pokorni i niedbali; *Biechanie* dobrzy do rady, ale tchórze; *Buszczanie* (Busk) szczerzy w słowach, ale nie w rzeczy; *Bractawianie* zgodni w małżeństwie, ale nie w sąsiedztwie; *Czerszczanie* pyszni, ale rzetelni; *Ciechanowianie* ludzcy, ale nierzetelni; *Chetmińszczanie* (Ziemia Chelmińska) ponurzy, ale szczerzy; *Chęcinianie* biegli wprawie, ale zwadliwi; *Chetmianie* wielkiej pamięci, małego rozsądku; *Dobryńianie* dowcipni, ale leniwi; *Drohiczanie* skromni, ale nieużyeci; *Gostynianie* gospodarze, ale nie żołnierze; *Gnieźnianie* łagodni, ale nieczyści; *Grodzianie* pobożni, ale uporni; *Inowłodzianie* przyjemni, ale nieszczerzy; *Inowrocławianie* sprawiedliwi, ale nieochędożni; *Haliczanie* jak *Czerszczanie*; *Kaliszanie* obrotni, ale nierzetelni; *Kościanie* szczerzy, ale okrutni; *Kujawianie* szczerzy, ale niewstydlivi; *Kruszowie* dowcipni, ale oszuści; *Końskie* (Kępn) rzetelni, ale trzpioty; *Kiszporczanie* obyczajni, ale uporni; *Krakowianie* do bitwy, nie do rady; *Kęjowianie* mężni, ale mściwi; *Kotomyszczańskie* zgodni, ale samochwalcy; *Krasnostawianie* do przyjaźni, nie do gospodarstwa; *Krzemieńszczanie* ludzcy, ale niepomiar-kowani; *Kowieńszczanie* odważni, ale nierozsądni; *Łęczycanie* jak *Gostynianie*; *Łomżanie* przyjaźni, ale pijacy; *Lwianie* (Liw) jak *Haliczanie* i *Czerszczanie*; *Lwowianie* mili, ale lubieżni; *Lucczanie* mówcy, ale kłótnicy; *Lublinianie* wspaniałego serca, małego dowcipu; *Lukowianie* spokojni, ale żarłocy; *Mszczonowianie* skromni w jedzeniu, ale nie w napoju; *Michałowszczanie* (Ziemia Michałowska) gościnni, ale okrutni poddanym; *Malborzanie* wstręmięzliwi, ale niesprawiedliwi; *Mscistawianie* niele-niwi do pracy, ale szalbierze; *Mińszczanie* bitni, ale kłótniwi w małżeństwie; *Naklanie* cisi, ale niechlu-

je; *Nureczanie* (Nur) do szkoły nie do obozu; *Nowogrodzianie* (Nowogródek Litewski, Nowogród Wołyński, Podolski, Łomżyński?) do szabli nie do pióra; *Oświęcimianie* ni do kufła ni do korda; *Opocznianie* przyjaciele Muz i Bachusa; *Osmiańszczanie* z ciasnym workiem, a szeroką gębą; w *Orszanach* serca wiele, mózgu mało; *Foznańszczanie* poważni, ale skapi; *Piotrkowszczanie* wielomówni, przyjaciel-sczy; *Płocczanie* prędzej uderzą niż połają; przeciwnie, *Przasnyszanie* burczą, ale nie biją; *Pomorza-nie* pilni we wszystkim prócz w nabożeństwie; *Piżnianie* szczerzy bez rozsądku; *Przemyslanie* wielkiego dowcipu, małej cnoty; *Podolanie* silni, ale nie dowcipni; *Podlasianie* dobrzy do rady nie do szabli; *Potoczanie* hajdamakowaci, ale rzetelni; *Pińszczanie* niewieściuchowaci, ale spokojni; *Ra-dziejowianie* szczerzy w słowach, ale nie w rze-czy; *Raciążanie* szczerzy, ale okrutni; *Rawianie* do kufła i do korda (por. *Opocznianie*); *Radomianie* wierszopisy, ale niewstydlivi; *Rzeczyżanie* bogobojni, ale nieodważni; *Sieradzanie* szczerzy, ale z cudzego; *Sierpianie* małowiacy, ale zapalczywi; *Sandeczanie* bitni, ale nieprzykładni; *Sandomierza-nie* dowcipni, ale nierozsądni; *Stężycanie* mówcy, ale łakomi; *Sanoczanie* do korda, nie do prawa; *Słoni-mianie* do szkoły, nie do roli; *Trembowlanie* jak *Haliczanie* i inni; *Trocczanie* do bitwy, nie do rady; *Urzędowianie* do dworu, nie do obozu; *Upiteczanie* ni krzywdzić, ni dobrze czynić nie zwykli; *Wschowia-nie* z rozumem nie z sercem; przeciwnie, *Wieluń-szczanie* bez głowy, ale z sercem; *Warszawianie* z sercem otwartem, rękami skurczonemi; *Wiszcza-nie* (Wizna nad Narwią) w słowach obfici, nie w uczynności; *Wyszogrodzianie* łagodni, ale lubie-żni; *Wiśliczanie* gospodarze, nie pisarze; *Wołynia-nie* z sercem, ale nie z rozsądkiem (por. *Wieluń-szczanie*); *Włodzimierzanie* do obozu, nie do szko-ły; *Winniczanie* brzuchowi i gardłu, a nie workowi, służy; *Wilnianie* prędcy do zawarcia i do zerwa-nia przyjaźni; *Witkomirzanie* z dobrym językiem, a złem sercem; *Wołkowyszczanie* (Wołkowysk w w. Nowogrodzkim) sławy bardziej niż życia ochra-niają; *Witebszczanie* zazdrośnych oczu, a ust łago-dnych; *Zakroczymianie* dobrej woli, złego skutku; *Zambrowianie* i na pieniądze i na sławę łakomi; *Zatorzanie* o sławę nazbyt a o pieniądze mało dba-ja; *Zytomierzanie* łatwiej darują urazy niż dług; *Zwinogrodzianie* bardziej o worek niż o brzuch dbali; *Zmudzini* nakoniec — pieniędzy a nie sławy przyjaciele.

OD WYDAWCY.

„Bluszc“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją i na tych samych warunkach.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenume-raty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce nu-merów.

Do dzisiejszego numeru „Bluszc“ dołącza się arkusz 25-ty powieści pod tytułem: Zamek Daly.

TREŚĆ. Z nowej wiosny. (poezya), przez Heinego. — Sasiedzi, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Listy z zagranicy, przez J. I. Kraszewskiego. — Towarzystwo Naukowe Płockie. — Przegląd teatralny, przez Edwarda Lubowskiego. — Wiadomości literackie, artystyczne i naukowe. — Ruch muzyczny, przez Jana Kleczyńskiego. — Historia zbrodni, W. Hugo (dalszy ciąg), przełożył Edward Lubowski. — Drobnе listki.

Warszawa, — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 13 Юня 1878 года.